

ROZDZIAŁ DWUNASTY

GRACE

Przemieniłam się ponownie któregoś dnia, wczesnym popołudniem. Tak, „któregoś”, ponieważ absolutnie straciłam poczucie czasu. Nie miałam pojęcia, ile godzin czy dni upłynęło, od kiedy po raz ostatni byłam w pełni sobą. Pamiętałam tylko, że miało to miejsce obok sklepu wędkarskiego „Ben’s Fish and Tackle”.

Tym razem, kiedy otrząsnęłam się po przemianie, znajdowałam się na zarośniętym patio w pobliżu domu Isabel. Twarz miałam dociśniętą do wilgotnej ziemi częściowo zakrywającą kolorową mozaikę, którą zobaczyłam po raz pierwszy kilka miesięcy temu. Leżałam na tej wzorzystej podłodze wystarczająco długo, żeby płytki odcisnęły liniowany wzór na moim policzku. Kaczki pływające nieopodal na stawie porozumiewały się głośnym, urywanym kwakaniem.

Podniosłam się, żeby sprawdzić, czy w ogóle utrzymam się na nogach, a następnie strząsnęłam z siebie pokrywającą mnie ziemię oraz lepkie, wilgotne resztki liści.

– Grace – powiedziałam na głos.

Kaczki przestały na chwilę kwakać.

Fakt, że byłam w stanie przypomnieć sobie własne imię, sprawił mi niewiarygodną przyjemność. Bycie wilkiem drastycznie obniżyło moje standardy, jeśli chodzi o uznawanie cudów. Wypowiadając własne imię na głos, udowodniłam sobie też, że naprawdę znów stałam się człowiekiem i mogę zbliżyć się do domu Culpeperów.

Słońce przeświecające przez gałęzie grzało mnie w plecy, gdy skradałam się pomiędzy drzewami. Upewniłam się, że podjazd jest pusty – ostatecznie byłam naga – i pobiegłam do tylnych drzwi.

Ostatnim razem, kiedy Isabel mnie tu przyprowadziła, były one otwarte. Pamiętam, że to skomentowałam. Isabel powiedziała wtedy: „Ciągle zapominam je zamknąć”.

Dzisiaj znowu zapomniała.

Ostrożnie wślizgnęłam się do środka i odnalazłam telefon w nieskazitelnie czystej kuchni. Zapach jedzenia był tak kuszący, że przez chwilę po prostu tam stałam z aparatem w dłoni, zanim wykręciłam numer.

Isabel odebrała natychmiast.

– Cześć – powiedziałam. – To ja. Jestem u ciebie w domu. Nikogo tu nie ma.

Zaburczało mi w brzuchu. Zerknęłam na pojemnik na pieczywo i zobaczyłam bajgla.

– Nie ruszaj się stamtąd – rzuciła Isabel. – Już do ciebie jadę.

Pół godziny później znalazła mnie w foyer z wypchanymi zwierzętami, jedzącą bajgla i ubraną w jej ciuchy.

Prawdę mówiąc, na swój koszmarny sposób to pomieszczenie fascynowało. Przede wszystkim było ogromne – wysokie na dwa piętra, oświetlone jak muzeum i mniej więcej długości całego domu moich rodziców. A do tego pełne wypchanych zwierząt. Zakładałam, że Tom Culpeper sam zastrzelił wszystkie swoje eksponaty. Czy strzelanie do łosi było legalne? I czy w Minnesocie w ogóle były łosie? Wydawało mi się, że jeśli ktoś powinien to wiedzieć, to właśnie ja. A może ojciec Isabel po prostu kupił wszystkie te zwierzęta, już wypchane. Wyobraziłam sobie mężczyzn w jednoczęściowych kombinezonach, wyładowujących zwierzęta ze styropianem przyklejonym taśmą do poroży.

Drzwi zatrzęsnęły się głośno za Isabel, a w domu rozniosło się echo niczym w kościele. Jej obcasy zastukały, a rezonans kroków w panującej dokoła ciszy tylko spotęgował dziwne wrażenie, że jesteśmy w świątyni.

- Wyglądasz wyjątkowo wesoło – skomentowała, widząc mnie uśmiechającą się do wypchanego łosia. Stanęła obok mnie. – Przyjechałam tak szybko, jak tylko mogłam. Widzę, że odnalazłaś moją szafę.
- Tak – odpowiedziałam. – Dziękuję.

Skubnęła rękaw T-shirtu, który miałam na sobie: starego i żółtego z napisem „SANTA MARIA ACADEMY”.

- Ta koszulka przywołuje złe wspomnienia. Wtedy byłam Isabel C., bo najlepsza przyjaciółka też miała na imię Isabel. Isabel D. Rany, ale była z niej suka...
- Wiesz, w razie przemiany, nie chciałam zniszczyć ci żadnego ładnego ciucha. – Zerknęłam na nią. Naprawdę się cieszyłam, że ją widzę. Każda inna moja przyjaciółka wyściskałaby mnie po tak długim rozstaniu. Ale Isabel raczej nikogo nie ścisnęła, w żadnych okolicznościach. Żołądek mi się skręcił, ostrzegając, że mogę nie pozostać Grace tak długo, jak bym tego chciała. – Czy twój ojciec zastrzelił je wszystkie? – zapytałam.

Isabel skrzywiła się.

- Nie, nie wszystkie zastrzelił. Niektóre prawdopodobnie zanudził na śmierć swoimi tyradami.

Przeszliśmy kilka kroków. Zatrzymałam się przed wilkiem o szklanych oczach. Oczekiwałam, że ten widok mnie przerazi, ale nie czułam strachu. Promienie słońca wpadające przez małe okrągłe okienka pod sufitem rzucały kręgi światła na łapy wypchanego wilka. Był skurczony i zakurzony, miał matową sierść i nie wyglądał, jakby kiedykolwiek żył. Jego oczy zostały zrobione w fabryce i nie mówiły mi nic o tym, kim mógł być, zwierzęciem czy człowiekiem.

- Kanada – powiedziała Isabel. – Pytałam go. To nie jest jeden z wilków z Mercy Falls. Nie musisz już się tak na niego gapić.

Nie byłam pewna, czy wierze ojcu Isabel.

- Tęsknisz za Kalifornią? – zapytałam. – I za Isabel D.?
- Tak – ucięła, nie wdając się w szczegóły. – Dzwoniłaś do Sama?
- Nie odpowiada.

W telefonie Sama od razu włączała się poczta głosowa – pewnie wyładowała mu się bateria – a w domu nikt nie odbierał. Starłam się ukryć rozczarowanie. Isabel by tego nie zrozumiała, a ja w tej chwili nie miałam ochoty dzielić się z nią moimi smutkami. Wiedziałam, że i ona by tego nie chciała.

- Mnie też nie udało się do niego dodzwonić – przyznała. – Zostawiłam mu wiadomość w pracy.
- Dzięki. – Uśmiechnęłam się.

Prawda była taka, że nie czułam się zbyt pewnie w swojej skórze. Ostatnio coraz częściej budziłam się w ludzkiej postaci, z zażenowaniem rozglądając się po nieznanach częściach lasu, ale wciąż nie udawało mi się pozostać w tej formie dłużej niż godzinę. Zdarzało się, że nie byłam człowiekiem nawet na tyle długo, żeby zarejestrować zmianę ciała moim wciąż wilczym umysłem. Nie miałam pojęcia, ile czasu upływało pomiędzy przemianami. Wszystkie te dni mijające w milczeniu...

Pogłaskałam nos wilka. Był zakurzony i twardy – jakbym gładziła półkę. Żałowałam, że nie jestem teraz w domu Becka, że nie śpię w łóżku Sama. Albo nawet we własnym domu, szykując się do szkoły. Jednak groźba przemiany w wilka przyćmiewała wszelkie inne troski w moim życiu.

- Grace – szepnęła Isabel. – Mój ojciec próbuje nakłonić znajomego kongresmena, żeby pomógł mu usunąć wilki z listy chronionych gatunków. Chce zorganizować odstrzał z powietrza.

Żołądek znowu mi się skręcił w supeł. Przeszłam po pięknej drewnianej podłodze do następnego zwierzęcia, niesamowicie wielkiego zająca na wieki zamartęgo w pół skoku. Miał pajęczynę pomiędzy tylnymi łapami.

Tom Culpeper... Czy ten człowiek musiał wciąż tak obsesyjnie ścigać wilki? Nie mógł zostawić ich w spokoju? Wiedziałam, że nie mógł. Dlatego to nie była zemsta, tylko prewencja. Cnotliwe wymachiwanie mieczem. Ochrona innych przed losem, jaki spotkał jego syna. Jeśli naprawdę się starałam, potrafiłam zrozumieć jego punkt widzenia, a wtedy, ze względu na Isabel, na dwie sekundy przestawałam o nim myśleć jak o potworze.

- Ty i Sam jesteście siebie warci! – wybuchła niespodziewanie Isabel. – Wyglądasz, jakby cię to w ogóle nie obeszło. Nie wierzysz mi?
- Wierzę – zapewniłam ją.

Patrzyłam na nasze odbicia w lśniącym drewnie. To było niewiarygodnie satysfakcjonujące widzieć przyćmiony, rozmyty kształt własnej ludzkiej formy. Poczułam przyptyw tęsknoty za moimi ulubionymi dzinsami.

- Jestem tym wszystkim po prostu odrobinę zmęczona – westchnęłam. – To trochę dużo jak na jeden raz.
- Ale i tak trzeba będzie się z tym uporać, czy ci się to podoba, czy nie. A Sam jest równie praktyczny co... - urwała. Najwyraźniej nie przyszło jej do głowy żadne dobre porównanie.
- Wiem, że trzeba to załatwić – powiedziałam znużona. Znowu poczułam szarpnięcie w brzuchu. – Musimy przesiedlić wilki, ale w tej chwili nie potrafię wykombinować, jak się za to zabrać.
- Przesiedlić je?

Powoli podeszłam do następnego zwierzęcia. To była gęś z rozpostartymi skrzydłami. Możliwe, że właśnie miała lądować. Ukośne popołudniowe światło padające z góry spletało mi figła – wydawało mi się, że gęś mrugnęła do mnie swoim czarnym okiem.

- Ewidentnie musimy je zabrać z dala od twojego ojca. On nie przestanie ich ścigać. Trzeba znaleźć jakieś bezpieczniejsze miejsce.
- Uwielbiam to, że potrafisz wpaść na świetny pomysł w dwie sekundy, chociaż Sam i Cole nie byli w stanie nic wymyślić przez dwa miesiące – Isabel zachichotała.

Zerknęłam na nią. Patrzyła na mnie z ironicznym uśmiechem, z jedną brwią uniesioną. W jej wypadku ta mina zapewne oznaczała podziw.

- Cóż, to może się nie udać. To znaczy przesiedlenie sfory dzikich zwierząt...
- Tak, ale to przynajmniej jest jakiś pomysł. Naprawdę miło patrzeć, jak ktoś używa mózgu.

Przewróciłam oczami. Spojrzałyśmy obie na gęś. Już na mnie nie mrugała.

- Czy to boli? – zapytała Isabel.

Zdałam sobie sprawę, że patrzy na moją lewą rękę, którą mimowolnie zaczęłam przyciskać do boku.

- Tylko odrobinę – skłamałam.

Nie wytknęła mi tej nieszczerości.

Obie podskoczyłyśmy, gdy zadzwonił jej telefon.

- To do ciebie – powiedziała, jeszcze zanim go wyciągnęła. Spojrzała na wyświetlacz i podała mi komórkę.

Mój żołądek fiknął koziołka. Nie potrafiłam stwierdzić, czy to z powodu wilka budzącego się wewnątrz mnie, czy w wyniku nagłego niewytłumaczalnego zdenerwowania.

- Powiedz coś. – Isabel pacnęła mnie w ramię.

Moja skóra zafalowała pod jej dotykiem.

- Cześć – wykrztusiłam po chwili. Mój głos przypominał żabi rechot.
- Cześć – powiedział Sam tak cicho, że ledwo go usłyszałam. – Jak się czujesz?

Byłam wyjątkowo świadoma obecności Isabel obok mnie. Odwróciłam się w stronę gęsi. Znowu do mnie mrugnęła. Czułam, jakby moja skóra nie należała do mnie.

– Już lepiej.

Nie wiedziałam, co miałabym mu powiedzieć w dwie minuty po kilku miesiącach rozłąki. Nie chciałam mówić. Chciałam zwinąć się przy nim w kłębek i zasnąć. A najbardziej chciałam znowu go zobaczyć, zobaczyć w jego oczach, że to, co jest między nami, jest prawdziwe i że nie staliśmy się sobie obcy. Nie pragnęłam wielkich gestów ani wyszukanej konwersacji, po prostu chciałam zyskać pewność, że to „coś” było wciąż takie samo, nawet jeśli wszystko inne się zmieniło. Poczułam przyływ gniewu na myśl, że nie mogę tego wszystkiego przekazać przez telefon, gniewu na moje niepewne ciało, na wilki, które mnie stworzyły i zniszczyły.

– Już jadę – rzucił do słuchawki. – Dziesięć minut.

O osiem minut za długo. Kości mnie bolały.

– Naprawdę chciałabym... - przerwałam, zaciskając zęby, żeby nie szczękały. To była najgorsza część, kiedy naprawdę zaczynało boleć, ale wiedziałam, że potem będzie bolało jeszcze bardziej - ... napić się kakao, kiedy wrócę. Tęsknię za czekoladą.

Sam jęknął cicho. On w i e d z i a ł i to bolało bardziej niż przemiana.

– Wiem, że to trudne – szepnął. – Ale pomyśl o lecie, Grace. Pamiętaj, że to ustanie.

Oczy mnie piekły. Skuliłam ramiona, odcinając się od obecności Isabel.

– Chcę, żeby skończyło się teraz – wydusiłam i poczułam się strasznie, przyznając się do tego.

– Ty... - zaczął Sam.

– Grace! – Isabel wyrwała mi z ręki telefon. – Musisz uciekać! Moi rodzice są w domu!

Zatrzasnęła klapkę komórki w momencie, gdy usłyszałam głosy w sąsiednim pomieszczeniu.

– Isabel! – rozbrzmiał głos Toma Culpepera.

Moje ciało rozciągało się i rozdzierało od wewnątrz. Miałam ochotę schować się w samej sobie.

Isabel popchnęła mnie w kierunku jakichś drzwi. Zataczając się, wpadłam do sąsiedniego pokoju.

– Właż tutaj i bądź cicho! Ja się tym zajmę – rzuciła.

– Ale... - sapnęłam – ja nie mogę...

Masywny stary zamek po drugiej stronie foyer huknął przy otwieraniu niczym wystrzał w tym samym momencie, w którym Isabel zatrzasnęła mi drzwi przed nosem.